



BLAKE CROUCH

---

WAYWARD PINES SZUM

---

Twinn Peaks zmieniło nazwę na Wayward Pines. Czekaliśmy na kogoś, kto przytuli osamotnionych fanów przedziwnego serialu Lyncha.

**BARTOSZ WĘGLARCZYK**





BLAKE CROUCH

**WAYWARD PINES SZUM**

TŁUMACZENIE  
PAWEŁ LIPSZYC

WYDAWNICTWO  
**otwarte**  
KRAKÓW 2014

Tytuł oryginalu: *Pines*

Text copyright © 2012 by Blake Crouch

Copyright © for the translation by Paweł Lipszyc

Opieka redakcyjna: Anna Małocha, Joanna Stryczyk

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Zuzanna Szatanik / d2d.pl

Korekta: Anna Woś / d2d.pl,

Alicja Listwan / d2d.pl

Łamanie: Zuzanna Szatanik / d2d.pl

Projekt okładki: Filip Kuźniarz

Fotografie na okładce: miasto – © Aleksey Stemmer / Shutterstock.com,

las – © Heiko Kueverling / Shutterstock.com

Promocja książki: Marcin Sikorski

ISBN 978-83-7515-306-4

WYDAWNICTWO  
**otwarte**

**[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)**

---

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,  
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,  
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

---

„Mimo dowodów na to, że ludzka ewolucja nadal postępuje, biolodzy są zgodni, że nikt nie ma pojęcia, dokąd nas poprowadzi”.

„Time”, 23 lutego 2009

„Sam fakt, że cierpisz na paranoję, nie oznacza, że nie chcą cię dopaść”.

Joseph Heller



## ROZDZIAŁ 1

Odzyskał przytomność, leżąc na plecach. Słońce świeciło mu w twarz, nieopodal szemrała woda. W nerwie wzrokowym czuł oślepiający ból, u nasady czaszki miarowe, bezbolesne pulsowanie – odległy grzmot nadciągającej migreny. Przekręcił się na bok, z trudem usiadł i nisko pochylił głowę. Zanim otworzył oczy, wydawało mu się, że świat się zatacza, jakby podcięto jego oś. Pierwszy głęboki oddech odczuł tak, jak gdyby między górne żebra w lewym boku ktoś wbił mu stalowy klin. Z jękiem pokonał ból i zmusił się do otwarcia oczu. Lewe musiało poważnie opuchnąć, bo miał wrażenie, że patrzy przez szparkę.

Najzieleńsza trawa, jaką kiedykolwiek widział, gęsta i miękka, porastała pochyły brzeg rzeki. Między głazami rozrzuconymi wzdłuż jej koryta płynęła czysta, wartka woda. Po drugiej stronie rzeki piętrzyła się trzystumetrowa skarpa. Na półkach skalnych rosły kępy sosen, w powietrzu unosiły się ich woń i słodki chłód płynącej wody.

Miał na sobie czarne spodnie, czarną marynarkę i białą bawełnianą koszulę poplamioną krwią. Pod kołnierzykiem zwisał mu zawiązany byle jak czarny krawat.

Przy pierwszej próbie wstania kolana ugięły się pod nim, więc usiadł, na tyle gwałtownie, że po klatce piersiowej rozeszły się wibracje rozdzierającego bólu. Druga próba okazała się pomyślna, chwiejnie stanął, a ziemia zakolebała się pod jego stopami jak pokład. Powoli się odwrócił, szerzej stawiając nogi dla utrzymania równowagi.

Stanął na skraju rozległego pola, tyłem do rzeki. W oddali, w silnym słońcu południa, połyskiwały huśtawki i zjeżdżalnie.

Oprócz niego ani żywej duszy.

Za parkiem dostrzegł wiktoriańskie domy, a dalej zabudowania przy głównej ulicy. Miasteczko nie miało więcej niż półtora kilometra szerokości, leżało w niecce okolonej czerwono żyłkowanymi skalnymi zboczami, wznoszącymi się na setki metrów. W najwyższych, ocienionych górskich żlebach utrzymywał się śnieg, ale tu, w dolinie, było ciepło, w górze rozpościerało się bezchmurne kobaltowe niebo.

Mężczyzna sprawdził kieszenie spodni, potem jednorzędową marynarkę.

Brak portfela. Brak spinacza na banknoty. Brak dowodu tożsamości. Brak kluczy. Brak telefonu.

Tylko mały scyzoryk Swiss Army w jednej z wewnętrznych kieszeni.

\* \* \*

Kiedy dotarł na drugą stronę parku, wzmógł czujność. Był coraz bardziej zdezorientowany, ale pulsowanie w szyjnym odcinku kręgosłupa przestało sprawiać mu ból.

Wiedział pięć rzeczy:

Jak się nazywa obecny prezydent.

Jak wyglądała twarz matki, chociaż nie mógł sobie przypomnieć jej imienia ani nawet brzmienia jej głosu.

Że potrafi grać na fortepianie.

I latać helikopterem.

Wiedział też, że ma trzydzieści siedem lat.

Oprócz tych faktów świat oraz jego własne w nim miejsce były nie tyle ukryte, ile wydrukowane w obcym języku, którego nie znał. Owszem, wyczuwał prawdę unosząc się na obrzeżach świadomości, ale pozostawała tuż poza jego zasięgiem.

Szedł cichą ulicą domów mieszkalnych, przyglądając się mijanym samochodom. Czy jeden z nich należał do niego?

Stojące naprzeciwko siebie budynki były nieskazitelnie czyste i świeżo pomalowane, płoty ogradzały idealne kwadratowe trawniczki, na czarnych skrzynkach na listy widniały nazwiska właścicieli wypisane białymi drukowanymi literami.

Za każdym niemal domem widział kipiący życiem ogród, pełen nie tylko kwiatów, ale także warzyw i owoców.

Wszystkie barwy były niezwykle czyste i nasycone.

W połowie drugiego kwartału zabudowań skrzywił się z bólu. Wysiłek związany z chodzeniem sprawił, że musiał wziąć głęboki oddech, i to on wywołał ból w lewym boku. Zatrzymał się, zdjął marynarkę, rozpiął i rozchylił koszulę. To, co pod nią zobaczył, okazało się gorsze niż ból: cały lewy bok pokrywał mu rozległy, ciemny, podbiegnięty zjadliwą żółcią siniak.

Coś musiało go uderzyć w głowę. I to mocno.

Ostrożnie przesunął dłoń po czaszce. Ból nie ustępował, z każdą chwilą stawał się silniejszy, ale prócz stłuczonego lewego boku nie czuł żadnych objawów poważnych obrażeń.

Zapiął koszulę, wsunął ją w spodnie i ruszył dalej.

Wniosek był tylko jeden: uległ jakiemuś wypadkowi. Może był to samochód. Może się przewrócił. Może ktoś go napadł; to by tłumaczyło brak portfela.

Powinien natychmiast pójść na policję.

Chyba że...

A jeśli zrobił coś złego? Popułnił zbrodnię?

Czy istniała taka ewentualność?

Może powinien poczekać, sprawdzić, czy coś mu się przypomni.

Chociaż nic w tym mieście nie wydawało mu się choćby w najmniejszym stopniu znajome, wlokąc się ulicą, zdał sobie sprawę, że czyta nazwiska na wszystkich skrzynkach na listy. Podświadomy odruch? Czy gdzieś w zakamarkach umysłu tkwiło przekonanie, że na jednej z tych skrzynek zobaczy swoje nazwisko, a ten widok sprawi, że przypomni sobie całą resztę?

Kilka przecznic dalej, w centrum miasteczka, domy górowały nad sosnami. Po raz pierwszy usłyszał odgłos jadących samochodów, odległe głosy, szum systemów wentylacyjnych.

Pośrodku ulicy zamarł, mimowolnie przekrzywiając głowę.

Wpatrywał się w skrzynkę na listy przed czerwono-zielonym, piętrowym domem.

Nie mógł oderwać wzroku od nazwiska na skrzynce.

## MACKENZIE

- Mackenzie.

To nazwisko nic mu nie mówiło.

- Mack...

Za to pierwsza sylaba, owszem. A przynajmniej wywoływała jakąś reakcję emocjonalną.

– Mack. Mack.

Czy był Mackiem? Czy tak miał na imię?

– Mam na imię Mack. Cześć, jestem Mack, miło cię poznać.

Nie.

To słowo nie spływało z języka w naturalny sposób. Nie czuł, że do niego należy. Szczerze mówiąc, nie cierpiał tego słowa, ponieważ wywoływało...

Lęk.

Jakież to osobliwe. Z jakiegoś powodu to słowo budziło lęk.

Czy ktoś imieniem Mack go skrzywdził?

Szedł dalej.

Po przejściu kolejnych trzech przecznic dotarł do skrzyżowania ulicy Głównej i Szóstej, gdzie usiadł na ocienionej ławce i powoli, ostrożnie odetchnął. Rozejrzał się wokół, rozpaczliwie szukając czegoś znajomego.

Nigdzie ani śladu sklepu.

Na rogu, po przekątnej od miejsca, gdzie siedział, znajdowała się apteka.

Tuż obok kawiarnia.

W pobliżu kawiarni stał dwupiętrowy budynek z sztydem nad werandą:

## HOTEL WAYWARD PINES

Aromat kawy ściągnął go z ławki. Podniósł wzrok i uznał, że źródłem zapachu musi być lokal The Steaming Bean, mieszczący się pół przecznicy dalej.

Hm.

W zaistniałej sytuacji nie była to może najprzydatniejsza informacja, ale uzmysłowił sobie, że uwielbia dobrą

kawę. Pragnie jej. Kolejny mały fragment układanki stanowiącej jego tożsamość.

Podszedł do kawiarni, pociągnął siatkovane drzwi. Lokal był mały i uroczy, po woni poznał, że znajdują się na parzeniu. Po prawej, naprzeciwko baru, zobaczył ekspres do kawy, młynki, miksery, butelki z dodatkami smakowymi. Trzy stołki barowe były zajęte. Pod przeciwległą ścianą stały sofy i krzesła. Półka z wyblakłymi książkami w miękkiej oprawie. Dwóch starsuszków toczyło bój na szachownicy pełnej figur z różnych kompletów. Ściany zdobiły prace miejscowych artystów: szereg czarno-białych portretów kobiety w średnim wieku, która na wszystkich fotografiach miała ten sam wyraz twarzy. Zmieniała się tylko ostrość obrazu.

Podszedł do kasy.

Kiedy dwudziestokilkuletnia baristka z jasnymi dreadami w końcu go zauważyła, wydało mu się, że w jej ślicznych oczach mignęło przerażenie.

„Czy ona mnie zna?”

W lustrze za kasą dostrzegł własne odbicie i natychmiast pojął, co wywołało jej zniesmaczoną minę: lewą stronę jego twarzy pokrywał pokaźny siniak, a lewe oko było niemal całkowicie zamknięte przez opuchliznę.

„Mój Boże. Ktoś spuścił mi prawdziwy łomot”.

Jeśli pominąć ohydny siniak, był całkiem przystojny. Oceniał swój wzrost na sto osiemdziesiąt, może sto osiemdziesiąt trzy. Krótkie czarne włosy i dwudniowy zarost, oleniający dolną część twarzy. Masywna, muskularna budowa ciała, widoczna w sposobie, w jaki marynarka układała się na barkach, a koszula opinała pierś. Pomyślał, że wygląda niby dyrektor działu reklamy albo marketingu. Kiedy był ogolony i wymuskany, musiał być pewnie cholernym przystojniakiem.

- Co podać? – spytała baristka.

Oddałby wszystko za filiżankę kawy, ale nie miał grosza przy duszy, jeśli w ogóle miał duszę.

- Parzycie tu dobrą kawę?

- No, tak.

Pytanie najwyraźniej zbiło kobietę z pantofelku.

- Najlepszą w miasteczku?

- To jest jedyna kawiarnia w miasteczku, ale tak, nasza kawa daje czadu.

- Znasz mnie? – szepnął mężczyzna, nachylając się nad blatem.

- Słucham?

- Poznajesz mnie? Czy czasami tu przychodzę?

- Nie wiesz, czy już tu kiedyś byłeś?

Mężczyzna potrząsnął głową.

Kobieta przyglądała się mu przez chwilę, jakby oceniała jego szczerłość i próbowała ustalić, czy ten gość z obitą twarzą jest świrem, czy może z nią pogrywa.

- Chyba nigdy wcześniej cię nie widziałam – powiedziała w końcu.

- Jesteś tego pewna?

- Cóż, w Nowym Jorku jest inaczej.

- Uczciwe postawienie sprawy. Dawno tu pracujesz?

- Nieco więcej niż rok.

- I nie jestem stałym klientem ani nikim takim?

- Z całą pewnością nie jesteś stałym klientem.

- Czy mogę cię jeszcze o coś spytać?

- Jasne.

- Gdzie my jesteśmy?

- Nie wiesz, gdzie jesteś?

Mężczyzna się zawahał, jakby część niego wzbraniała się przed przyznaniem się do tak kompletnej bezradności.

Kiedy wreszcie potrząsnął głową, baristka zmarszczyła brwi, jakby nie mogła uwierzyć w to pytanie.

- Nie pogrywam z tobą - powiedział.

- Jesteśmy w Wayward Pines w stanie Idaho. Twoja twarz... Co ci się stało?

- Ja... Naprawdę jeszcze nie wiem. Czy w tym miasteczku jest szpital?

Zadając to pytanie, poczuł, jak przenika go złowrogi dreszcz.

Słabe przeczucie?

A może zimne palce głęboko ukrytego wspomnienia przesuwające się po jego kręgosłupie?

- Tak, siedem przecznic na południe stąd. Natychmiast powinieneś pójść na ostry dyżur. Mogę wezwać karetkę.

- Nie trzeba. - Cofnął się od lady. - Dzięki... jak ci na imię?

- Miranda.

- Dzięki, Mirando.

Ponowne wyjście na słońce sprawiło, że się zachwiał, a ból głowy podskoczył o kilka stopni, do dolnych stanów rozsadzających. Jezdnia świeciła pustkami, więc łamiąc przepisy, przeszedł na drugą stronę Głównej, po czym ruszył w kierunku Piątej. Po drodze minął młodą matkę z małym synkiem, który szepnął do niej coś, co zabrzmiało jak: „Mamo, czy to on?”.

Kobieta uciszyła chłopca, napotkała wzrok mężczyzny i powiedziała przepraszająco:

- Proszę wybaczyć. On nie chciał być niegrzeczny.

Mężczyzna dotarł do skrzyżowania Piątej i Głównej i stojącego przy nim piętrowego budynku z czerwono-brązowego piaskowca. Na przeszklonych podwójnych drzwiach widniał napis PIERWSZY NARODOWY BANK

WAYWARD PINES. Obok domu, nieopodal bocznej uliczki, dostrzegł budkę telefoniczną.

Najszybciej, jak potrafił, pokuśtykał i zamknął się w budce.

W życiu nie widział tak cienkiej książki telefonicznej. Wertował ją w nadziei na olśnienie, ale książka składała się z zaledwie ośmiu stron i kilkuset nazwisk, które, podobnie jak wszystko inne w tym miasteczku, nic mu nie mówiły.

Upuścił książkę, która zakoiłysa się na metalowym sznurze, i oparł czoło o chłodną szybę.

Jego uwagę przykuły przyciski z cyframi.

Poczuł cudowną ulgę i uśmiechnął się.

„Znam swój numer domowy”.

Zanim podniósł słuchawkę, dla pewności kilkakrotnie wstukał numer, który zdawał się spływać mu z opuszek palców z łatwością utrwalonej wiedzy i pamięci mięśniowej.

Zadzwoni na koszt rozmówcy, modląc się, żeby ktoś był w domu, przy założeniu, że kogoś miał. Oczywiście nie zdoła się przedstawić, w każdym razie nie prawdziwym nazwiskiem, ale może rozpoznają jego głos i przyjmą rozmowę.

Podniósł słuchawkę i przyłożył do ucha.

Wysunął palec w stronę „0”.

Brak sygnału.

Kilkakrotnie kliknął widelkami, ale bez rezultatu.

Zdziwiło go, jak szybko wezbrała w nim wściekłość. Trzasnął słuchawką. Lęk i gniew, niczym pospiesznie, kilkakrotnie uruchamiany zapłon, przetoczyły się przez niego w poszukiwaniu ujścia. Cofnął prawą rękę z zamiarem uderzenia pięścią w szybę, niech szlag trafi knykie, ale płomień bólu w obitych żebrach przesłonił wszystko. Mężczyzna zgiął się wpół i runął na podłogę.

Pulsowanie u podstawy czaszki narastało.

Zaczął widzieć podwójnie, potem obraz się zatarł, przeszedł w ciemność...

\* \* \*

Kiedy ponownie otworzył oczy, budka telefoniczna stała w cieniu. Chwycił metalowy sznur książki telefonicznej i z trudem stanął. Przez brudną szybę ujrzał skrawek słońca chowający się za szczytami, które napierały na zachodni kraniec miasta.

W momencie, gdy słońce zaszło, temperatura wyczuwalnie się obniżyła.

Nadal pamiętał swój numer telefoniczny, na wszelki wypadek przećwiczył go na sucho na przyciskach, ponownie sprawdził sygnał: cisza, oprócz przytłumionych szumów, których, jak mu się zdawało, wcześniej nie słyszał.

- Halo? Halo?

Odwiesił słuchawkę i znów sięgnął po książkę telefoniczną. Za pierwszym razem przebiegał wzrokiem nazwiska, po omacku szukał takiego, które pobudziłoby pamięć lub wywołało jakąś emocję. Teraz lustrował imiona, przesuwając palcem po liście i próbując ignorować powracający ból u nasady czaszki.

Pierwsza strona - nic.

Druga strona - nic.

Trzecia - nic.

U dołu szóstej strony jego palec się zatrzymał.

SKOZIE Mack i Jane

403 E 3rd St W Pines 83278.....559-0196

Pospiesznie przepatrzył dwie ostatnie strony. Skozie był jedynym Mackiem wymienionym w książce telefonicznej miasteczka Wayward Pines.

Napierając barkiem na harmonijkowe przeszklone drzwi, wyszedł z budki. Był wczesny wieczór. Słońce skryło się za pasmem zboczy, niebo poszarzało, temperatura spadała już od pewnego czasu.

„Gdzie będę spał dziś w nocy?”

Powlókl się chodnikiem, w jego głowie jakiś głos wrzeszczał, że musi się natychmiast udać do szpitala. Przecież był chory. Odwodniony. Głodny. Zagubiony. Bez grosza. Bolało go całe ciało. Coraz trudniej oddychał z powodu paraliżującego bólu, jaki przeszywał żebra, ilekroć napierały na nie płuca.

Mimo to jakaś jego część nadal wzdragała się przed pójściem do szpitala, a w miarę, jak oddalał się od centrum w stronę domu Macka Skoziego, pojął, co to jest.

Znowu... strach.

Nie wiedział dlaczego. To nie miało sensu, ale nie chciał przestępować progu tego szpitala.

Nie w swoim obecnym stanie. Nigdy.

To był najosobliwszy rodzaj lęku. Nieokreślony. Jakbyś szedł nocą przez las, nie wiedział dokładnie, czego powinieneś się bać, a lęk nasilał się właśnie z powodu tej niepewności.

Po przejściu dwóch przecznic na północ dotarł do Trzeciej. Gdy skręcił na chodnik i ruszył na wschód, pozostawiając za sobą centrum, poczuł niewytłumaczalny ucisk w piersiach.

Pierwsza mijana skrzynka na listy nosiła numer 201.

Domyślał się, że dom państwa Skoziech powinien się znajdować zaledwie dwie przecznice dalej.

Na trawniku, tuż przed domem, dzieciaki bawiły się w przebieganie przez strumień zraszacza. Zbliżając się do płotu, próbował iść wyprostowany, ale odruchowo oszczędzał lewą stronę ciała, żeby złagodzić szarpiący ból w żebrach.

Kiedy podszedł, dzieci znieruchomiały i ucichły, patrzyły, jak się wlecze. Ciekawość i nieufność małych gapiów sprawiły, że poczuł się nieswojo.

Przeciął kolejną przecznicę, zwalniając kroku, przeszedł pod gałęziami olbrzymich sosen zwieszającymi się nad ulicą.

Wszystkie numery domów w tym kwartale zaczynały się od trójki.

Następny powinien być dom Skoziech.

Dłonie zaczęły mu się pocić, pulsowanie z tyłu głowy dudniło mu w uszach jak basowy loskot bębna zakopanego głęboko pod ziemią.

Przez dwie sekundy dwoiło mu się przed oczami.

Mocno zacisnął powieki, a gdy znów otworzył oczy, podwójne widzenie minęło.

Na następnym skrzyżowaniu stanął. Wcześniej czuł w ustach suchość, ale teraz miał tam jakby watę. Z trudem walczył o oddech, odnosił wrażenie, że zółć podejdzie mu do gardła.

„Wszystko to nabierze sensu, kiedy zobaczysz jego twarz”.

„Musi nabrać”.

Ostrożnie wszedł na jezdnię.

Zapadł wieczór, od gór napływał chłód i zalegał w dolinie.

Skały wokół Wayward Pines zaróżowiły się w poświacie po zachodzie słońca, taki sam odcień miało ciemniejące niebo. Próbował odnaleźć w tym widoku poruszające piękno, ale udręka na to nie pozwalała.

Para starszusków trzymających się za ręce minęła go w milczeniu.

Ulica była pusta i cicha, hałas centrum całkowicie zanikł.

Przeszedł po gładkim czarnym asfalcie i zrobił krok na chodnik.

Tuż przed nim widniała skrzynka na listy domu numer 401.

Dom 403 był następny.

Teraz musiał nieustannie mrużyć oczy, aby przezwyciężyć podwójne widzenie i kłujące pulsowanie migreny.

Piętnaście bolesnych kroków, aż stanął obok czarnej skrzynki numeru 403.

SKOZIE

Mocno przytrzymując się ostrych sztchet płotu, utrzymał równowagę.

Sięgnął nad płotem, otworzył bramę i pchnął ją czubkiem obtartego czarnego buta.

Zawiasy zaskrzypiały.

Brama cicho uderzyła o płot.

Chodnik – mozaika starych cegieł – prowadził do krytej frontowej werandy z parą foteli na biegunach, między którymi stał stolik z kutego żelaza. Sam dom miał kolor purpurowy z zielonym obramowaniem; przez cienkie zasłony widział w środku światło.

„Po prostu wejdź. Musisz się dowiedzieć”.

Powlókł się w stronę domu.

Z coraz większym trudem przychodziło mu powstrzymanie mdlących błysków, przez które przebiegał podwójny obraz.

Wszedł na werandę i oparł się o framugę drzwi, w ostatniej chwili ratując się przed upadkiem. Dłonie drżały mu jak szalone, gdy uniósł kołatkę z mosiężnej podkładki.

Nie pozwolił sobie nawet na ułamek sekundy wahania.

Czterokrotnie uderzył kolatką o mosiadz.

Czuł, jakby co cztery sekundy ktoś tłukł go w tył głowy, pole widzenia przesłoniły mu płonące plamy ciemności, niby miniaturowe czarne dziury.

Słyszał, jak za drzwiami podłoga z twardego drewna skrzypi pod ciężarem zbliżających się kroków.

Kolana miał jak z waty.

Objął jeden z filarów podtrzymujących dach werandy.

Drewniane drzwi się otworzyły. Zza siatki przyglądał mu się mężczyzna mniej więcej w wieku jego ojca. Wysoki i szczupły, z siwą kępką na czubku głowy, z siwą bródką i mikroskopijnymi czerwonymi żyłkami na policzkach, świadczącymi o latach ostrego picia.

– W czym mogę pomóc? – spytał.

Wyprostował się, mrużąc oczy z powodu migreny. Z najwyższym wysiłkiem stał o własnych siłach.

– Ty jesteś Mack? – W swoim głosie słyszał lęk. Przypuszczał, że i tamten go słyszy.

Nie cierpiał się za to.

Starszy mężczyzna pochylił się ku siatkowym drzwiom, aby lepiej się przyjrzeć nieznanemu na werandzie.

– Czym mogę służyć?

– Ty jesteś Mack?

– Tak.

Gdy się zbliżył, obraz starszego mężczyzny się wyostrzył, poczuł słodko-kwaśny odór wina.

– Czy ty mnie znasz? – spytał.

– Słucham?

Teraz lęk fermentował w gniew.

– Czy. Ty. Mnie. Znasz. Czy to ty mnie tak urządziłeś?

– W życiu cię nie widziałem – powiedział starszy mężczyzna.

- Naprawdę? - Mimowolnie zacisnął pięści. - Czy w mieście jest jeszcze jakiś Mack?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Mack otworzył siatkowe drzwi i wyszedł na werandę. - Nie wyglądasz najlepiej, kolego.

- Nie czuję się najlepiej.

- Co ci się stało?

- Ty mi powiedz, Mack.

Z głębi domu dobiegł kobiecy głos:

- Kochanie? Wszystko w porządku?

- Tak, Jane, wszystko gra! - Mack wpatrywał się w niego. - Może zabiorę cię do szpitala? Jesteś ranny. Musisz...

- Nigdzie z tobą nie idę.

- To po co do mnie przyszedłeś? - spytał Mack, tym razem nieco ostrzej, nachmurzony. - Właśnie zaoferowałem ci pomoc. Nie chcesz, w porządku, ale...

Mack nadal mówił, lecz jego słowa zaczęły się rozmywać, zagłuszane przez hałas narastający w żołądku jak turkot nadjeżdżającego pociągu towarowego. Czarne dziury się mnożyły, świat zaczął wirować. Nie utrzyma się na nogach nawet przez pięć sekund, chyba że najpierw eksploduje mu głowa.

Spojrzał na Macka, który wciąż poruszał ustami, pociąg towarowy zbliżał się ze wściekłym loskotem, jego rytm pokrywał się z brutalnym łomotaniem w głowie. Nie mógł oderwać oczu od ust Macka, od zębów starego - synapsy iskrzyły, próbowały nawiązać połączenie, ale hałas, Boże, ten hałas, pulsowanie...

Nie czuł, kiedy ugięły się pod nim nogi.

Nie zarejestrował nawet potknięcia w tył.

W jednej sekundzie był na werandzie.

W następnej na trawie.



godzinę wcześniej, kiedy odkrył, że może się całkiem wyłączyć, jeśli ograniczy się do wtrącania mniej więcej co pięć minut: „Nie myślałem o tym w ten sposób” albo „Hm, ciekawe”.

Właśnie się odwraca, aby dorzucić taki symboliczny wkład do rozmowy, gdy w odległości paru metrów od okna Stallingsa widzi słowo MACK.

Nie zdąża nawet zareagować – ledwie przeczytał to słowo – kiedy okno przy głowie Stallingsa rozpryskuje się w powodzi szklanych odłamków.

Poduszka powietrzna eksploduje, ale o tysięczną sekundę za późno, nie trafia w jego głowę, która uderza o szybę z taką siłą, że ją przebija.

Prawa strona samochodu lincoln town imploduje w chaosie tłuczonego szkła i giętego metalu, kratka nad zderzakiem ciężarówki uderza prosto w głowę Stallingsa.

Czuje ciepło silnika ciężarówki, kiedy ta wdziera się w samochód.

Nagły smród benzyny i płynu hamulcowego.

Krew jest wszędzie – splywa po wewnętrznej stronie rozbitej szyby, spryskuje tablicę rozdzielczą, jego oczy, nadal tryska z tego, co zostało ze Stallingsa.

Lincoln przelatuje w poślizgu przez skrzyżowanie, pchany przez ciężarówkę w stronę tamtego domu z piaskowca, z budką telefoniczną obok bocznej uliczki, i właśnie wtedy on traci przytomność.

# JEST TYLKO JEDNA RZECZ STRASZNIJSZA NIŻ OBŁĘD: ŚWIADOMOŚĆ, ŻE JESTEŚ PRZY ZDROWYCH ZMYŚŁACH...

Agent specjalny Ethan Burke przybywa do Wayward Pines w stanie Idaho w poszukiwaniu dwóch zaginionych funkcjonariuszy. Tuż po tym, jak przekracza granice miasta, rozpędzona ciężarówka taranuje jego auto. Burke traci pamięć. Nie wie, kim jest i gdzie się znajduje. Szybko jednak zauważa, że w miasteczku dzieją się dziwne rzeczy, a kontakt ze światem zewnętrznym jest niemożliwy. Ethan ma nowy cel: przetrwać.

*Wayward Pines jest kulminacją moich dwudziestoletnich starań, których celem było stworzenie czegoś, co wywołałoby we mnie podobne odczucia jak Miasteczko Twin Peaks, Przystanek Alaska, Z Archiwum X czy Lost. Zagubieni.*

BLAKE CROUCH

Przeczytaj, zanim obejrzysz serial telewizyj FOX!

Dziesięcioodcinkowy serial na podstawie trylogii *Wayward Pines* reżyseruje M. Night Shyamalan, twórca takich kinowych hitów jak *Szósty zmysł* czy *Osada*. W Ethana Burke'a wciela się Matt Dillon – nominowany do Oscara za rolę w *Mieście gniewu*, znany również z filmów Francisca Forda Coppoli i Kevina Spacey'ego.

E-book dostępny na

**woblink.com**


ISBN 978-83-7515-306-4



9 788375 153064

Cena detal. 34,90 zł

 **lubimyczytać.pl**  
Twoja internetowa biblioteczka

 **Xiegarnia.pl**

 **HATAK**  
KONKURSY I PROMOCJE